

opusdei.org

Wspomnienia o świętym Josemaríi

"Długo czekałeś, mój synu".
Tym czułym zwrotem Don Iñaki
Celaya poznał założyciela Opus
Dei 11 marca 1954 roku.
Publikujemy tu kilka
wspomnień z dwudziestu lat,
które spędził ze świętym
Josemarią w Rzymie.

14-01-2023

Wstęp

Św. Josemarię Escrivę spotkałem 11
marca 1954 r. wśród rusztowań na

budowie Villa Tevere, gdzie w Rzymie znajduje się siedziba Opus Dei.

Pamiętam bardzo dobrze słowa, które wypowiedział do mnie, gdy tylko mnie zobaczył: "Długo czekałeś, mój synu". Rzeczywiście, przewidywany przyjazd miał nastąpić pod koniec grudnia lub na początku stycznia, ale sprawy wojskowe pochłonęły prawie trzy miesiące na załatwienie paszportu.

Powitanie i czułość Ojca sprawiły, że odniosłem wrażenie, iż znał mnie od zawsze. Wiele osób doznawało podobnego wrażenia, po ujrzeniu go po raz pierwszy, i zwracało uwagę, że święty Josemaría już ich znał, poprzez modlitwę i umartwienia za nich, jeszcze na długo przed osobistym spotkaniem każdego z nich.

W ciągu dwudziestu jeden długich lat, kiedy żyłem blisko księdza

Escrivy de Balaguera, byłem świadkiem jego zaangażowania i jego cnót. W szczególności, podczas moich lat w Kolegium Rzymskim Świętego Krzyża, od 1954 r. do czasu śmierci św. Josemaríi, widziałem jego oddanie temu międzynarodowemu ośrodkowi formacyjnemu. On bowiem doskonale widział oczami wyobraźni jak duże znaczenie będzie miało to przedsięwzięcie, i co oznacza ten ośrodek dla całego Dzieła, gdy co roku wychodzi z niego grupa ludzi ze wszystkich krajów, w tym wielu kapłanów, dobrze uformowani duchowo i naukowo. Chciał, by ich pobyt w Rzymie był etapem formacji ascetycznej i intelektualnej oraz okazją do tego, by stali się bardziej zromanizowani, co oznacza wielką miłość do Kościoła i papieża, z katolickim, uniwersalnym sercem. Aby to osiągnąć, nie szczędził środków: przede wszystkim swojej modlitwy i osobistego umartwienia, o co prosił także wielu

ludzi. Kiedy poszczególne roczniki wyjeżdżały z Rzymu, prosił ich, aby dużo się modlili i ... modlili się za Kolegium Rzymskie, i aby ich serca były stale w Rzymie. Jednocześnie poświęcił się bez reszty bezpośredniej formacji słuchaczy.

Kiedy przybyłem do Rzymu było już za późno - marzec - aby zapisać się na uniwersytet. Mogłem wziąć tylko kilka przedmiotów z teologii, a do września poświęciłem się głównie formowaniu chóru, pomocy w pracach w domu i aby na zmianę zajmować się portiernią. Rektor Kolegium Rzymskiego był entuzjastą muzyki i przy dużym nakładzie czasu udało nam się zbudować dobry chór, który zadebiutował na Wielkanoc i wystąpił kilka razy. Pamiętam, że śpiewaliśmy polifonię - *Haec dies quam fecit Dominus* - na osiem głosów, która okazała się *wielkim sukcesem*.

Mam wiele wspomnień związanych ze świętym Josemarią, notatek z jego kazań i spotkań z nim, w których miałem szczęście uczestniczyć. Moim zamiarem nie jest teraz wyczerpujące przedstawianie tego materiału, który, dzięki Bogu, został zebrany i częściowo opublikowany, ale stworzenie czegoś na kształt moich wspomnień z lat pracy z bł. Alvaro del Portillo, które napisałem kilka tygodni temu, czyli uporządkowanie moich dokumentów i zachęcenie tych wszystkich, którzy nie znali go osobiście, do pogłębionego studiowania jego przykładu i zwrócenia się do jego wstawiennictwa.

Jako jeszcze jedna postać

Wkrótce po przyjeździe do Rzymu, podczas trwania rekolekcji, które mieliśmy w tygodniu od 11 do 18 kwietnia, św. Josemaría prowadził dla nas codziennie dwie medytacje.

Każdy, kto zna szczegółowo biografię księdza Escrivy, może pamiętać, że w tamtych czasach jego cukrzyca była w szczególnie poważnej fazie, której kulminacją był wstrząs anafilaktyczny 27 kwietnia 1954 roku. Tym z nas, którzy słuchali jego kazań, nie przyszło do głowy, że jest chory; w rzeczywistości nie wiedzieliśmy, że cierpi. Jego słowa docierały do głębi naszych dusz i poruszały nas wewnątrz. Ożywiał Ewangelię: wchodził w sceny świętego tekstu, jakby był jeszcze jedną postacią, i pomagał tym z nas, którzy go słuchali, robić tak samo.

Odtąd wielokrotnie słyszałem jego kursy rekolekcyjne, rekolekcje, medytacje, rozmowy, homilie itp. - oprócz innych okazji, kiedy otwierał przed nami swoją duszę, na spotkaniach i w innych chwilach rozmowy. Gdybym musiał zaznaczyć jakąś charakterystyczną nutę całego jego nauczania, to niewątpliwie

podkreśliłbym ufną nadzieję w Bogu, o którą chciał, abyśmy starali się prowadzić walkę w naszym życiu wewnętrznym. Zaszczepił w nas całkowite zaufanie do Boga, a jednocześnie prosił o osobistą odpowiedź na łaskę, co przekładało się na nieustanną wewnętrzną walkę w małych, zwykłych rzeczach każdego dnia.

Sprawił, iż zobaczyliśmy, że małe porażki - a nawet i te duże - nie powinny nas zniechęcać, ale prowadzić do większej pokory, do szczerości i do rozpoczęcia zmagania na nowo z większą radością. I nawet jeśli chodzi o chwile, które mogą wydawać się trudniejsze - z powodu przeszkód wewnętrznych lub zewnętrznych - napełniał nas optymizmem, który nigdy nie może zgasnąć, jeśli oprzemy się na Bogu. W 1962 roku zapisałem jego słowa: **„Nawet jeśli czasem wydaje się, że wszystko się wali, nic się nie wali,**

bo Bóg nie przegrywa bitew”.

Sprawił, że zobaczyliśmy, iż dzięki łasce Bożej nic nie jest bezpowrotnie stracone: wszystko można naprawić oprócz śmierci, co komentował czasem popularnym powiedzeniem i dodawał: **„A dla nas śmierć jest Życiem”.**

Zakodował naszą radość i nasze bezpieczeństwo w poczuciu synostwa Bożego, na które odpowiadamy naszą wewnętrzną walką: **„Będziemy smutni w dniu, w którym przestaniemy walczyć”** - wielokrotnie komentował; **„Nie zapominajcie, że nasza radość ma swoje korzenie w postaci Krzyża”** - dodawał.

Słuchanie jego nauczania pomagało w odnowieniu wewnętrznego "ja". Potrafił obudzić skuteczne i praktyczne pragnienie, by bardziej oddać się Bogu, służyć wszystkim ludziom, żyć tak, by kochać i służyć

Bogu i całej ludzkości. Muszę powiedzieć, że miałem to przekonanie już w latach 49-54, zanim poznałem osobiście św. Josemarię, kiedy słuchałem ćwiczeń duchowych głoszonych w Bilbao przez jego synów-kapłanów, których sam formował.

Po odbyciu studiów w Kolegium Rzymskim byłem zastępcą dyrektora, dyrektorem studiów, kierownikiem duchowym, a w latach 1963-1975 rektorem. W ciągu tych lat przez to centrum formacyjne przeszło ponad tysiąc osób z 45 krajów, w którym ksiądz Escrivá de Balaguer dźwigał ciężar całej pracy formacyjnej, a jednocześnie uczył nas formacji, podając konkretne wskazania.

Pójść na lody ze świętym

Kiedy podkreślamy jakość jego przepowiadania lub bezpośredniość, z jaką pomagał nam uczyć się służby duszom, można odnieść wrażenie, że

św. Josemaría zawsze przemawiał do nas z ambony lub, że mówił tylko o teologii. Nic bardziej mylnego. Jego uczucie do jego dzieci prowadziło go do poznania ich i kochania. Starał się okazać im wszelką dobroć ojca i matki.

Wiele razy, gdy jechał samochodem do Rzymu, do pracy itp. zapraszał jednego lub dwóch alumnów, aby towarzyszyli jemu i bł. Alvaro, lub komukolwiek, kto prowadził samochód lub towarzyszył mu w danej sprawie. Pojechałem z nim raz. Oprowadził mnie po mieście, jak przez nie jechaliśmy. Na koniec zapytał, czy chciałabym pojechać jeszcze aż do Ostii. Oczywiście zgodziłem się i ruszyliśmy. Gdy dotarliśmy na miejsce odbyliśmy krótki spacer, i poszliśmy na lody. Po drodze śpiewaliśmy wiele piosenek, które lubił („**coplas de amor humano a lo divino**” [słowa o miłości człowieka do Boga], jak

często nam powtarzał), wśród nich tę zatytułowaną „Solamente una vez” [Tylko raz]. Ksiądz Escrivá śpiewał z werwą, znał wszystkie słowa i muszę powiedzieć, że miał bardzo przyjemny głos, o ciepłym barytonowym brzmieniu i bardzo dobrej barwie. Pamiętam też, jak zaprosił po kolei wszystkich alumnów, w małych grupach do oglądania programu telewizyjnego w pokoju Don Alvaro, kiedy w całym domu był tylko jeden telewizor: ojciec o sobie zapominał, upewniając się, że wszyscy dobrze oglądają, tłumaczył z włoskiego, jeśli nie byli dobrzy w tym języku, komentował itp.

W przydziale miejsc do monitorowania prac przy domu, przydzielono mnie do strefy wejścia na ulicy Bruno Buozzi 73.

Monitorowanie polegało na pilnowaniu, aby te najdrobniejsze sprawy remontowe się nie opóźniały,

zachęcaniu do pracy robotników, dokupowaniu niektórych brakujących przedmiotów itp. Kilka razy musiałem powiedzieć świętemu Josemaríi o opóźnieniach i niepowodzeniach. Przy tej okazji wyjaśnił nam, że trzeba sprawić, aby ci, których to dotyczy, zobaczyli wady jasno ale i łagodnie - *irascimini et nolite peccare* (dosłownie "gniewaj się, ale nie grzesz"), przypomniał nam za pomocą psalmu i swojego dobrego humoru - tak, aby obok autorytetu pojawiła się prawość, miłość i tak dalej. To była złota zasada, która dobrze mi służyła przez całe życie.

Po zakończeniu prac w tym zakresie, w grudniu '54, dołączyłem do zmiany dozorców na portierni. Ksiądz Escrivá de Balaguer schodził raz lub dwa razy rano i po południu i dawał nam małe instrukcje: jak przyjmować gości, wietrzyć, czyścić poręczce itd. Przekazywaliśmy mu

nasze doświadczenia na piśmie, a on następnie zwracał nam te notatki z poprawkami i uwagami, co po kilku miesiącach pozwoliło na spisanie pewnych zasad opieki nad portiernią, które mogłyby być przydatne dla tych, którzy w przyszłości będą uczestniczyć w tym zadaniu. Gdy to się udało, jego wizyty na portierni stały się znacznie częstsze.

Jeśli chodzi o opiekę nad portiernią i przygotowanie wskazówek - coś, co, logicznie rzecz biorąc, robił także przy innych zadaniach - mam wyrytą w pamięci scenę, która miała miejsce kilka lat później, 17 października 1959 roku: rektor Kolegium Rzymskiego udzielał nowo przybyłym alumnom pewnych wskazówek, które miały im pomóc w radzeniu sobie przy domu (co roku udzielano pewnych wskazówek, które wydawały się roztropne, aby poprawić porządek i efektywność

pracy wszystkich). Właśnie byli w trakcie, gdy wszedł ksiądz Escrivá de Balaguer i skomentował: „**Rób jak chcesz; działaj ze zdrowym rozsądkiem i nadprzyrodzonym spojrzeniem, a ucieszysz Boga; dasz radość Ojcu i rektorowi: rób jak chcesz**”.

Jakieś wydarzenie na świecie, film, opowiadanie anegdoty przez jednego z nas, prowadziło go całkiem naturalnie do Boga i do myślenia o duszach. Pewnego dnia na przykład powiedział nam, że w wybrane wieczory, kiedy oglądał Telegiornale, gdy na początku w telewizji pojawiała się kula świata, pamiętał o modlitwie o pokój na świecie. Przy innej okazji, w przerwie filmu rozgrywającego się w kolonii trędowatych na Molokai, skomentował niebezpieczeństwo, że tak wielu dobrych ludzi pozwala się zarazić trędem braku doktryny... Czy też na spotkaniu, na którym

opowiedziano mu o przyjacielu, który zdobył mistrzostwo w strzelaniu do celu prawie bez żadnego treningu, dodał, że aby wznieść gmach naszej świętości mimo naszych nieszczęść, musimy trenować codziennie.

„**Chciałbym** - powiedział pewnego dnia do małej grupy - **abyście, zamykając oczy cielesne, kontemplowali życie Chrystusa jak w filmie: abyście byli aktorami w Jego życiu, będąc z Apostołami i ze Świętymi Kobietami, bliżej Jezusa niż Jan.**” Bynajmniej nie wszystkie jego rozważania miały taki ton: rozmawialiśmy z nim o wydarzeniach dnia, o naszych wielkich troskach i o drobiazgach życia codziennego; ale widać było, że jego modlitwa była nieustanna i że w każdym momencie starał się przekazać nam swoje doświadczenie życiowe w najdrobniejszych szczegółach.

Przy innej okazji mówił nam o miłości do Trójcy Przenajświętszej, pokazując, jak przychodzi czas, kiedy Bóg udziela duszy zróżnicowanego obcowania z trzema Osobami Boskimi, i że staje się to koniecznością dla duszy. Oto słowa, które zapisałem 18 grudnia 1959 r.:

„Musimy naśladować Jezusa w Jego życiu, w Jego śmierci i w Jego Zmartwychwstaniu; i kiedy On idzie do nieba, a my pozostajemy na dole, ciesząc się, bo odszedł do Ojca, i smucąc, bo wydaje się, że zostawia nas samych. Ale nie zostawia nas samych: pozostaje w Eucharystii i mówi do nas o Paraklecie: Ego rogabo Patrem, et alium Paraclitum dabit vobis... (Będę się modlił do Ojca, a on da wam innego Parakleta...) Trzeba mieć do czynienia z Trójcą Świętą. Jest to konieczność, gdy minie trochę czasu; i dostrzegasz rozróżnienie w jedności, sposób działania Ojca, Syna i Ducha

Świętego. I ich obecność, bo gdzie jest Syn, tam jest Ojciec i Duch Święty". Nawet w bardzo drobnych szczegółach, takich jak np. zapisanie numeru do losowania jakiegoś przedmiotu wśród nas, dało się zauważyć, że z dobrym humorem wybierał zawsze wielokrotności trzech, z nabożeństwa do Trójcy Świętej.

Szkoła cierpienia

W czerwcu 1957 roku w Rzymie, na krótko przed swoimi 58 urodzinami, zmarła jego siostra, Carmen Escrivá de Balaguer. Widać było, że w tych dniach płakał i był wyraźnie dotknięty, tak jak wtedy, gdy otrzymywał wiadomości o śmierci lub chorobie osób z Dzieła. Był oswojony z cierpieniem. Na spotkaniu w tym samym roku powiedział nam: „**Moje dzieci, nie wiecie, co to jest samotność. Nie możecie wiedzieć. Wiem to z**

doświadczenia: tremendum! Być może Pan pozwolił mi to poznać, aby moje dzieci nie czuły się samotne. Ale jeśli, choćby przez chwilę, poczujesz tę absolutną pustkę, to uczucie bezradności i świadomość, że jesteś nędzny, niezdarny, nieprzystosowany, niewprawny! W tych chwilach, kiedy nawet nie wie się, jaka jest Wola Boża, i protestuje się: Panie, jak możesz chcieć tego, co jest złem, co jest obrzydliwe ab instrumentem! [wewnętrznie] -jak skarżyło się Człowieczeństwo Chrystusa w Ogrodzie Oliwnym, gdy wydaje się, że głowa szaleje, a serce pęka.... Jeśli kiedykolwiek odczujesz to popadanie w pustkę, radzę ci odmówić tę modlitwę, którą wielokrotnie powtarzałem przy grobie bliskiej osoby: Fiat, adimpleatur, laudetur atque in aeternum superexaltetur iustissima atque amabilissima voluntas Dei super omnia. Amen.

Amen.” (Niech się stanie najsprawiedliwsza i najłaskawsza wola Boża, niech się spełni, niech będzie pochwalona i niech będzie wiecznie wywyższona ponad wszystko. Amen. Amen).

Na Boże Narodzenie w 1959 r. miałem okazję z bliska poznać, jak żył i dzielił smutki swoich dzieci, otulając je swoją ludzką i nadprzyrodzoną czułością, zarówno ojcowską, jak i matczyną. W jednym z tych dni - być może 28 grudnia - otrzymaliśmy telefon z Meksyku z informacją, że miał miejsce wypadek samochodowy, w którym zginęło kilku członków rodziny alumna z Kolegium Rzymskiego. Gdy tylko usłyszał tę wiadomość, ksiądz Escrivá wezwał go i spędził z nim trochę czasu, pocieszając go i podnosząc go na duchu i zachęcając do zjednoczenia z wolą Bożą. Powiedział mu ponadto, że ma pojechać na kilka dni do Meksyku,

aby zająć się swoją rodziną. Św. Josemaría wskazał mi kilka konkretnych szczegółów, przejawów delikatności i czułości, które powinniśmy mu okazać: od zabrania go na spacer po Rzymie, aby go trochę rozerwać, po możliwość pomocy w zaśnięciu tej nocy za pomocą jakiegoś lekarstwa.

Następnego dnia, przed wyjazdem, skierował do niego podczas spotkania następujące słowa:

„Będziemy cię bardzo polecać, a ty będziesz miał dużo spokoju. Nie przestawajcie polecać rodziny waszego brata. Jedynym wyjściem, gdy zdarzają się takie rzeczy - a zdarzają się każdemu w pewnych momentach życia - jest dostrzeżenie ręki Boga, który nie jest tyranem, który nas kocha: nie czeka, jak myśliwy.... Nie rozumiemy tego, ale to, co robi, jest dobre i to jest moment, aby odmówić tę modlitwę: „*Fiat adimpleatur...*”, aby powiedzieć

mu, że wola Boża jest najbardziej sprawiedliwa i najbardziej łaskawa, kiedy jesteśmy jak szaleńcy.... I to jest najlepszy czas na modlitwę, dobry czas na bycie dziećmi Boga, na pokładanie w Nim naszej ufności. To mówię ze względu na wasze życie i na to, kiedy będziecie musieli kierować duszami.”

Te sprawy dotyczyły mnie wielokrotnie w kolejnych latach przy podobnych sytuacjach. W innym konkretnym przypadku, gdy wiadomość o śmierci ojca alumna dotarła w nocy, poradził mi [św. Josemaría], aby uniknąć niepotrzebnego zdenerwowania i nieprzespanej nocy, nie informować go aż do następnego ranka, przed Mszą Świętą, aby mógł złożyć Świętą Ofiarę za duszę swego ojca. Albo kiedy było silne trzęsienie ziemi w Gwatemali i powoli docierały do nas wiadomości, że wśród tych z Dzieła,

którzy już byli w tym kraju, były osobiste nieszczęścia: „**Mamy serce - powiedział nam na spotkaniu - inaczej nie bylibyśmy ludźmi**”. „**I ja cierpię**”.

Był też godny podziwu ze względu na delikatność i punktualność, z jaką przyjmował rodziców alumnów z Kolegium Rzymskiego, którzy przejeżdżali przez Rzym i prosili o możliwość przywitania się z nim. Umawiał się z nimi na osobiste spotkanie, na Mszę św. w Villa Tevere, na śniadanie, na zwiedzanie domu... W oratorium poświęconym Świętej Rodzinie odczytywali tekst poświęcenia rodzin wiernych Dzieła Świętej Rodzinie z Nazaretu, który jest tam wyryty na kamiennej płycie.

Odnaczał się znaczną wytrzymałością w obliczu bólu fizycznego. Było to coś, co powoli zauważałem, ponieważ niecodziennie mówił o swoich

problemach zdrowotnych. W miarę upływu czasu i wzrostu obowiązków w domu zacząłem słyszeć o bólach zębów, bezsenności, migrenach... czy poważnym dyskomforcie, jaki odczuwał przez długi czas z powodu pólpaśca.

Pamiętam pewną niedzielę, kiedy św. Josemaría był chory i leżał w łóżku. Miał grypę, częstą dolegliwość w Rzymie, która, choć nie ma większego znaczenia, jest bardzo męcząca i przygnębiająca. Wezwał nas dwóch do swojego pokoju, abyśmy z nim porozmawiali i spędzili trochę czasu. Jak tylko weszliśmy do sypialni, jeszcze nim spytaliśmy go, jak się czuje, zaczął z nami rozmawiać i żartować. Kiedy wyszliśmy, po dwudziestu czy trzydziestu minutach, zdaliśmy sobie sprawę, że to on umiłał nam czas zabawną rozmową, jakby był w doskonałym zdrowiu.

Nie myślcie jednak, że św. Josemaría nie podejmował środków, aby usunąć chorobę lub ból fizyczny. Przeciwnie, powiedział: „**Ból fizyczny, gdy można go usunąć, jest usuwany, w życiu jest wystarczająco dużo cierpienia, a gdy nie można go usunąć, jest ono ofiarowane**” (1 stycznia 1969). Nalegał więc na chorych, aby najpierw jak najszybciej mówili o tym, że to nierozsądne czuć się chorym i nie informować o tym lekarza; a potem, aby byli posłuszni we wszystkim i pozwalali się pielęgnować. Zawsze, gdy pojawiała się epidemia grypy, pytał nas, czy podjęliśmy wszystkie odpowiednie środki, a gdy od 1970 roku zaczęto wprowadzać do obrotu szczepionkę przeciw grypie, co roku, na początku października, przypominał nam, że wszyscy powinniśmy się zaszczepić w ośrodku.

Na zakończenie tych kursów, w czerwcu każdego roku, wszyscy mogliśmy odczuć ojcowską, ludzką i nadprzyrodzoną czułość, jaką żywił dla swoich dzieci, podczas bardzo ciepłych spotkań z tymi, którzy opuszczali Rzym. Była to scena rodzinna, która powtarzała się co roku. Konkretnie, w czerwcu 1956 r., przed pierwszą dużą grupą swoich podopiecznych, którzy wyjeżdżali do różnych krajów, św. Josemaría był wzruszony do łez, a jednocześnie pomógł nam przenieść nasze uczucia na poziom nadprzyrodzony, każąc nam zobaczyć, że nigdy się nie rozdzielamy, ani nie żegnamy ze sobą, ponieważ zawsze łączy nas Świętych Obcowanie.

Często mówił nam, że nie ma jednego serca do kochania Boga, a drugiego do kochania swoich dzieci i wszystkich ludzi; że kocha Pana tym samym sercem, którym kochał swoich rodziców i nas. Czasami

mówił nam, że kocha nas ciałem i duszą, jak matka kocha nie tylko dusze swoich dzieci, ale i ich ciała. Widziałem na przykład, jak bardzo zależało mu na tym, żebyśmy dobrze się odżywiali: na niektórych przyjęciach pytał nas, czy dobrze zjedliśmy. Widziałem, jak martwi się o kogoś, kto się odchudza - patrzył na nich jak matka - albo, że jest zbyt gruby.

Zwracał też uwagę na sposób ubierania się; chciał, żebyśmy byli elegancy i dobrze ubrani; często na spotkaniu poprawiał węzeł krawata komuś, kogo miał blisko siebie, bo go nieładnie zawiązał. Na przykład 1 października 1970 r., gdy słuchaliśmy go na jednym z wewnętrznych dziedzińców Villa Tevere, w środku rozmowy o szczerości, miłości Boga itp. zauważył dwóch lub trzech, którzy mieli zbyt stare buty i zasugerował, aby kupili nowe. Przy kilku okazjach

zauważył dzięki drobnym szczegółom, że niektórzy potrzebują okularów, albo żeby zmienić te, które mieli; albo poradził innemu, żeby poszedł do dentysty.

Gdy któryś z alumnów był chory, jego troska i uwaga były jeszcze większe. Pamiętam, jak bardzo interesował się tymi, którzy leżeli w łózkach w pokoju dla chorych: kilka razy poszedłem z nim, aby ich odwiedzić i zebrałem sugestie, jakie dawał, aby im lepiej pomóc; że powinni mieć dwie poduszki, wystarczającą ilość koców, lampkę nocną w pobliżu, itp.; o jedzeniu, wentylacji i temperaturze pokoju, jak pomóc im w przestrzeganiu norm pobożności. Jednocześnie rozbawiał ich swoją rozmową i nauczył żyć z nadprzyrodzonym wyczuciem swojej sytuacji i ofiarować niewygodę. W lutym 1971 r. jeden z nich złamał obojczyk podczas meczu piłki nożnej; św. Josemaría był szczególnie

ważny wobec niego podczas leczenia złamania, a w kolejnych dniach, ilekroć go widział, pytał o stan zdrowia. Nawet po latach często nawiązywał do tego wypadku.

W tych latach kilku studentów było hospitalizowanych w klinice z powodu różnych operacji: ksiądz Escrivá de Balaguer śledził przebieg operacji i ich późniejszą rekonwalescencję co do minuty. Zadawał pytania przez telefon, odwiedzał ich, itp. Na przykład w czasie Bożego Narodzenia 1966 roku był u Wenezuelczyka, który niedawno przeszedł w klinice operację żołądka. Po zapoznaniu się ze wszystkimi szczegółami opieki medycznej i powiedzeniu mu, że ma ofiarować swój ból za pracę apostolską w Wenezueli, za Dzieło i za cały Kościół, zabawiał go długo z dobrym humorem; zauważył jednak, że rana chorego bolała, gdy się śmiał,

więc unikał uwag i żartów, które mogłyby go rozśmieszyć.

Troska św. Josemaríi o swoje dzieci była daleka od rozmiękczenia: to prawdziwie macierzyńska czułość kazała mu zwracać uwagę na te szczegóły, wykorzystując dostępne ludzkie środki, aby uniknąć choroby, a jednocześnie nauczyć ich przeżywania bólu z radością tych, którzy widzą w nim pieśczętę Boga. Pewnego razu oglądaliśmy z nim film, w którym opowiadał o rozpaczach dwóch paralityków, którzy nie chcieli pogodzić się ze swoją chorobą. W przerwie św. Josemaría nie usiadł na chwilę, jak to zwykle czynił, ale chodząc po sali, mówił do nas energicznie o braku chrześcijańskiego sensu, i o tym co to oznacza. Mówił nam o radości z bólu i o wielu chorych, którzy znosili swoje cierpienie z cudowną godnością. Widać było, że oprócz

powoływania się na innych, miał osobiste doświadczenie tego faktu.

Ten sam duch był widoczny, gdy zmarło jedno z jego dzieci. Skarżył się synowsko do Boga, zwłaszcza gdy zabierano mu młodego człowieka. Cierpiał przy tych okazjach, bo miał wielkie serce, płakał, a jednocześnie w pełni utożsamiał się z wolą Boga Ojca, który wie najlepiej. Tak widziałem go, gdy Bóg zabrał ciocię Carmen (1957), jak już wspomniałem; gdy dowiedział się o wypadku samochodowym, w którym zginęło kilkoro jego dzieci; przy śmierci Don José María Albareda, itd. A w roku akademickim 72-73, zwłaszcza gdy 6 grudnia zmarł José María Hernández Garnica. Tertulia w dniu 8 tego miesiąca była całkowicie poświęcona rozmowie z nami o tym jego synu i o jego śmierci: o jego wierności, o radości, z jaką znosił wszystkie cierpienia; o trosce i delikatności, z jaką był otoczony aż

do ostatniej chwili; o miłości, która łączy nas w Dziele w życiu i po śmierci; o cierpieniu ojcowskiego serca. **"Pan dał mi dla was serce ojca i matki"** - powiedział i dokończył: **"a kiedy Pan mnie wezwie, to samo"**. Czy to jasne? **Nie chcę nawet czarnego krawata"**.

Bezsenne noce syna, bezsenne noce Ojca

W latach, w których trwały sesje Soboru Watykańskiego II, ksiądz Escrivá de Balaguer często spędzał z nami czas. Widać było, jak intensywnie przeżywał w tym czasie przebieg Soboru, jego modlitwa o owoce tego wielkiego zgromadzenia kościelnego, jego troska o przekazanie swoim dzieciom kryteriów dotyczących omawianych kwestii i jego miłość do Kościoła.

Być może właśnie w 1963 roku zacząłem sobie dogłębnie uświadamiać, jak święty Josemaría

cierpiał z powodu sytuacji w Kościele. Wiadomo, że w czasie sesji Soboru Ekumenicznego, podobnie jak w innych przypadkach w historii Kościoła, szerzono doktryny i praktyki sprzeczne z wiarą i moralnością: nie było niczym niezwykłym słyszeć o ludziach atakujących Kościół Święty i Papieża na konferencjach, w pamfletach, w prasie itd. Zakwestionowano prawdy dogmatyczne zdefiniowane przez Magisterium, wywierano presję na Ojców Soboru, a nawet najbardziej wątpliwe elukubracje dogmatyczne i dyscyplinarne przedstawiano jako zatwierdzone wnioski.

Ksiądz Escrivá de Balaguer cierpiał, ponieważ **„nic, co dotyka Kościoła, Oblubienicy Chrystusa, której chcemy służyć, nie jest nam obce”**. Cierpiał, bo Kościół był źle traktowany, z powodu cierpień Papieża i z powodu dezorientacji, jaką to oznaczało dla dusz. Z tych

powodów prosił nas o więcej modlitwy; pamiętam zwłaszcza jego słowa z 11 maja 1965 r., w których prosił nas o modlitwę, by Bóg oświecił ojców soborowych i udzielił papieżowi niezbędnych sił, by w sposób jasny i atrakcyjny przedstawić wszystkie punkty dotyczące wiary i moralności. Podczas tego spotkania założyciel Opus Dei kilkakrotnie użył do określenia papieża wyrażenia św. Katarzyny ze Sieny *il dolce Cristo in terra* i mówił bardzo górnolotnie o nim, który zasługiwał i potrzebował całej naszej czułości i naszych modlitw.

Jednocześnie, gdy cierpiał, modlił się i nakłaniał nas do modlitwy, był pewny pomocy Ducha Świętego dla Kościoła: ilekroć rozmawiał z nami na ten temat, kończył mówiąc, że jest pewny Bożych owoców Soboru. Optymizm, pogoda ducha i większa miłość do Kościoła i Papieża były

stałym elementem jego rozmowy: kiedy wyjaśniał punkty doktryny, w których zasiewano błąd, zawsze dodawał: „**Wyciągnij z tej rozmowy więcej miłości, więcej wierności, więcej jedności, więcej posłuszeństwa, więcej uległości wobec Magisterium Kościoła i Papieża**”.

Mogę zapewnić, mając doświadczenie setek osób, które przeszły przez Kolegium Rzymskie w tych latach, że słowa św. Josemarí przynosiły nadprzyrodzone owoce w postaci większej siły w wierze; nie pamiętam ani jednego przypadku, by ktoś pozostał ze śladami goryczy czy pesymizmu, nie mówiąc już o uprzedzeniach wobec jakiegokolwiek osoby czy sytuacji.

Myślę, że należy poświęcić trochę więcej czasu na opisanie miłości do Papieża, jaką miał i przekazał nam Założyciel: miłości nadprzyrodzonej i

ludzkiej, pełnej czci i posłuszeństwa. Na przykład 24 czerwca 1957 roku, podczas prostej ceremonii, którą przeprowadziliśmy w Aula Magna w obecności biskupa Samore, chcąc poinformować nas, że Stolica Apostolska powierzyła Dziełu prałaturę Yauyos, św. Josemaría powiedział, że jeśli zawsze służył Kościołowi i Papieżowi z radością, to **„teraz, kiedy Ojciec Święty spojrział na nas, będziemy to robić z jeszcze większą radością”**.

Widziałem, jak ten duch przejawiał się w drobnych szczegółach: za każdym razem, gdy był przyjmowany na audiencji przez Papieża, po powrocie dzwonił do nas, aby nas o tym powiadomić i prosił o przygotowanie nadzwyczajnego posiłku, aby to uczcić; i prawie zawsze, tego samego dnia, schodził do nas, aby przekazać nam błogosławieństwo i sympatię Papieża, opowiadając jednocześnie

jakiś zewnętrzny szczegół audiencji. 26 października 1958 r., gdy po śmierci Piusa XII odbywało się konklawe dla wyboru nowego papieża, poprosił nas o modlitwę za przyszłego papieża słowami: „**Po Jezusie i Maryi Papież; kimkolwiek by nie był. Już kochamy nowego Papieża i jesteśmy gotowi służyć mu *ex toto corde, ex tota anima...* (z całego serca i duszy) **Módlcie się... i ofiarujcie nasze oddychanie**”.**

28 października, gdy tylko usłyszeliśmy, że pojawił się *fumata bianca*, usłyszeliśmy, jak odmawia *Oremus pro beatissimo Papa nostro...*, nie wiedząc jeszcze, kim jest; a następnego dnia z wielką uroczystością świętowaliśmy wybór Jana XXIII. To samo stało się 23 czerwca 1963 roku, gdy wybrano Pawła VI. Te jego słowa z 26 października 1958 r. podsumowują w tym punkcie jego życie: „**Kiedy będziecie starzy, a ja odejdę, by zdać sprawę przed Bogiem,**

opowiecie swoim braciom, jak Ojciec kochał Papieża, z całej duszy, ze wszystkich sił.”

Wiele razy wiedziałem na przykład, że z powodu troski o Kościół spał mało lub w ogóle przez całą noc: czasami zauważaliśmy to, bo wyglądał na zmęczonego. Pewnego dnia, konkretnie 6 listopada '71, zadzwonił do mnie o 7:15 rano, aby powiedzieć mi, że mam poprosić wszystkich o ofiarowanie Mszy św. w jego intencji. Powiedział mi, że całą noc modlił się, aby nie potwierdziły się pogłoski o tym, co miało być postanowione na odbywającym się Synodzie Biskupów, który właśnie tego dnia się zakończył.

W szczególności cierpiał w tym czasie z powodu ataków na celibat kapłanów. Miłość Założyciela do tego boskiego daru, który uważał za koronę kapłaństwa i Kościoła, była rzeczywiście wielka: nie mógł

pozwolić na lekkie traktowanie tego tematu bez cierpienia i modlitwy. Jednocześnie przestrzegał nas, że jest to skarb, o który trzeba dbać z miłością, używając wszystkich środków, które Kościół zawsze zalecał: pobożności, delikatności, roztropności itp. Z nadprzyrodzonym wyczuciem i zdrowym rozsądkiem sprawił, że dostrzegliśmy, jak zewnętrzne zachowania w niektórych przypadkach mogą prowadzić do ostudzenia miłości kapłana do Boga. I w pozytywny sposób, gorąco nalegał na potrzebę zakochania się w Panu, zwłaszcza przez traktowanie Go w Eucharystii.

Jego wiara była bardzo silna. Z przekonaniem, że ta cnota jest nadprzyrodzona, zapraszał nas, byśmy o nią nieustannie prosili Pana, z aktem strzelistym *adauge nobis fidem* (wzmagaj naszą wiarę). Nie lubił używać czasownika „wierzyć” do wyrażenia opinii: w takich

przypadkach wolał powiedzieć „ja myślę, że...” lub „wydaje mi się, że...” **„Wierzyć to wspaniałe, boskie słowo. Zawsze pisałem to wielką literą, nie lubię używać tego słowa, gdy nie jest to konieczne”** - mawiał przy niektórych okazjach, dodając: **„Wierzyć to coś bardzo ważnego; wierzę w to, co nakazuje Święta Matka Kościół, i to ze wszystkich sił”**.

Jego miłość i wiara w naszą Matkę Kościół jako Oblubienicę Chrystusa, bez plamy i zmarszczki, nieomylnego Strażnika depozytu wiary, była niezachwiana. Nie pozwoliłby na najmniejszą lukę. Z tego powodu, kiedy, zwłaszcza w ostatnich latach jego życia, rozpowszechniły się pewne doktryny, które zaciemniały nadprzyrodzony charakter Kościoła lub zagrażały jego jedności (na przykład pod koniec lat sześćdziesiątych wraz z kontrowersjami dotyczącymi

Kościół charyzmatyczny i Kościół hierarchiczny), św. Josemaría nieustannie utwierdzał nas swoją postawą i swoimi słowami w prawdziwej wierze, sprawiając, że z energią dostrzegaliśmy nierozdzielalną jedność tych dwóch cech Kościoła, jego nadprzyrodzony cel itd.

Były to lata, zwłaszcza od 1965 r., kiedy z wielką intensywnością przeżywał swoją miłość do Kościoła: w obliczu wielu ataków, których doznał, miał siłę, by utwierdzać nas w wierze. Powiedziałbym, że na wszystkich naszych spotkaniach w tamtych latach poruszał ten temat w taki czy inny sposób, aby napełnić nas optymizmem i ufnością Bogu, kiedy często próbowano sprowadzić Kościół do poziomu ludzkiego, siejąc zamęt i nieufność wobec Oblubienicy Chrystusa i zbawczej skuteczności nadprzyrodzonych środków, którymi obdarzył ją nasz Pan: „**Nie mamy**

prawa wątpić w Boga; a wątpić w Kościół, w zbawczą skuteczność jego przepowiadania, jego sakramentów, to wątpić w samego Boga” - powiedział nam w dniu Pięćdziesiątnicy 1969 roku.

Podobnie w rozmowach, które słyszałem, jakie prowadził na te tematy, nigdy nie było najmniejszej nuty osobistej krytyki. – „**Nie znam żadnych złych księży**” - słyszałem, jak mówił setki razy. Jeśli kiedykolwiek musiał opowiedzieć nam jakiś mniej obiektywnie budujący fakt publiczny, czynił to w obecności Boga, przynaglany obowiązkiem formowania nas i ostrzegania przed możliwymi niebezpieczeństwami dla naszej wiary; i w takich przypadkach ograniczał się do mówienia poprawnych rzeczy.

Ufność, optymizm

Z Rzymu śledziliśmy z uwagą inicjatywy apostołskie promowane przez Opus Dei na całym świecie. Na przykład, św. Josemaría prosił nas o modlitwę i umartwienia za apostołstwo w Kenii, Japonii czy Nigerii, albo za owoce pracy nowych wydziałów Uniwersytetu Nawarry jeszcze przed ich uruchomieniem. Nie prosił o nadzwyczajne wysiłki, ale o to, byśmy ofiarowali swoją pracę, swoją pobożność, swój uśmiech... i to były intencje, które niekiedy podtrzymywał przez lata. Często podkreślał, że w rzymskich latach studiów i formacji będziemy mieli być może niewiele okazji do bezpośredniego apostołstwa z przyjaciółmi i kolegami, więc musimy być wówczas jak potężny nadprzyrodzony generator, który wszędzie będzie wysyłał energię.

W ten sam sposób skłaniał nas do tego, by cenić owoce apostołskie z nadprzyrodzonym spojrzeniem: nie

dbał o ludzkie osiągnięcia, jeśli nie były one narzędziem i okazją do zbliżenia się do Boga i przybliżenia do Niego innych dusz. 11 marca '56 zapisałem: „**Skuteczność dzieł mierzę i widzę po świętości tych, którzy w nich pracują. Nie chcę żadnej pracy, jeśli pracujący w niej ludzie nie staną się lepsi. Nie jestem zainteresowany! Wszystko to jest przemijające, a my idziemy za tym, co trwałe**”.

Pamiętam, że kiedy Paweł VI opublikował encyklikę *Mysterium fidei*, św. Josemaría zadzwonił do mnie, aby powiedzieć, że powinniśmy mówić o tym wszystkim na najbliższych kręgach by utwierdzić naszą wiarę w Najświętszą Eucharystię i nabożeństwo do niej: 28 czerwca 1965 r. wykonaliśmy to polecenie. Przez cały ten czas ciężko pracowałem, aby jego dzieci miały żywą wiarę i przeżywały Mszę Świętą z jak

największą pobożnością. Najlepszym sposobem była oczywiście radość uczestniczenia we Mszy Świętej odprawianej przez niego. Miałem szczęście uczestniczyć w niej kilka razy, zarówno w kaplicy Świętej Trójcy, gdzie zwykle odprawiał z bardzo małą liczbą uczestników, jak i w kaplicy Świętej Rodziny w Boże Narodzenie 1956 roku, a także u Świętej Maryi Panny [Królowej] Pokoju, przy kilku okazjach, z alumnami Kolegium Rzymskiego. Zawsze byłem pod wrażeniem, widząc go tak zanurzonego w Bogu, tak utożsamionego z Chrystusem; czas jego Mszy św. mijał w mgnieniu oka, a gdy się skończył, łatwiej było dalej cieszyć się tym czasem w ciszy i dziękować Bogu. W tych chwilach lepiej można było zrozumieć to, co mówił nam przy wielu okazjach, to jak wyraźnie widział, że odprawianie Mszy Świętej to *Opus Dei*, boskie dzieło, i jak gdy skończył zmęczony, utożsamiając się z

Chrystusem. Prosił nas, kapłanów, abyśmy każdego dnia odnawiali wyraźną intencję odnowienia *in persona Christi* boskiej ofiary Kalwarii przez konsekrację Ciała i Krwi naszego Pana Jezusa Chrystusa. Przypominał nam wielokrotnie, słowem i pismem, szczegóły pobożności i oddania, którymi powinniśmy żyć, jednocześnie powtarzając nam, że mamy przestrzegać do ostatniego detalu wszystkie wskazania liturgiczne kompetentnej władzy.

Ufność w Boga, którą żył i którą nam przekazał, dawała mu zaraźliwy optymizm, który nie słabł w żadnej sytuacji. Daleki od jakiegokolwiek naiwności czy nieznajomości rzeczywistości i trudności, mocno wierzył w swoje synostwo Boże i wszechmoc Boga. Kiedy czasem opowiadał nam o trudnościach lub po ludzku niepokojących sytuacjach, w których znalazły się niektóre z jego

dzieci, zawsze dawał do zrozumienia, że Bóg wyprowadzi z tego dobro, jeśli będziemy wierni. Podczas moich lat spędzonych w Rzymie były, naturalnie, chwile niepokoju różnego rodzaju. Św. Josemaría wiedział o wszystkim i nalegał, abyśmy stale informowali go o wszelkich trudnościach, a on uspokajał nas z nadprzyrodzonym zmysłem i zawsze z dobrym humorem.

Siła założyciela

W tym czasie, gdy śledził wszystkie prace i formował nas na spotkaniach i rozmowach, pełnych ludzkich i nadprzyrodzonych treści, widzieliśmy go jak pilnował, by utrwalić i ugruntować ducha Dzieła i szczegóły naszego życia rodzinnego. I tak w Boże Narodzenie 1955 roku, podczas kameralnych spotkań, powstał zwyczaj czytania fragmentu Ewangelii ze św. Łukasza 2,1-21

przed Bożym Narodzeniem, w Wigilię. Podczas tego wieczoru założyciel Opus Dei prosił alumnów z różnych krajów o opowiedzenie o zwyczajach i tradycjach bożonarodzeniowych w ich krajach. Opowiadali jedni, jak w Niemczech popularna była tradycja czytania fragmentu Ewangelii w Wigilię. Księdzu Escrivie de Balaguer spodobało się to i zapytał: „**Czy zgadzacie się, abyśmy żyli tym chrześcijańskim zwyczajem w Kolegium Rzymskim?**”

Odpowiedzieliśmy twierdząco i od tego roku stało się to częścią życia rodzinnego tego ośrodka w okresie Bożego Narodzenia. W podobny sposób ustanowił - a raczej przekazał nam - coś, co było bardzo bliskie jego sercu i czym zawsze żył: troskę o świętość kapłanów. Pewnego dnia w grudniu 1954 r., po rozmowie z nami na ten temat, powiedział: „**A gdybyśmy wprowadzili zwyczaj, przynajmniej w tym domu na**

razie, że w okresie święceń kapłańskich, w czasie Suchych Dni, że wszyscy ofiarują umartwienie za kapłanów na całym świecie? Za kapłanów całego świata, a szczególnie za kapłanów Opus Dei, w tym pięknym czasie udzielania święceń kapłańskich kolejnym rocznikom. Czy wydaje się wam to dobre?” Zwyczaj ten stał się zwyczajem dla całego Dzieła: po latach, ze względu na zmiany liturgiczne, przeniósł go na inne dni roku, zawsze z tą samą treścią: modlitwy i umartwienia za kapłanów.

Chciałbym podkreślić naturalność, z jaką pojawiały się te wszystkie kwestie, które czasem były włączane w życie Dzieła, a czasem nie. Mam żywe wspomnienie ze spotkania 19 marca 1955 roku. Ktoś zapytał Go o celowość stosowania ludzkich sztuczek do podtrzymywania obecności Boga w ciągu dnia.

Pytający wiedział, że św. Josemaría mówi w Drodze [np. 272] i w innych miejscach o ludzkich sztuczkiach, aby odnieść się do ludzkich środków, które mogą być używane jako przypomnienie o Bożej obecności w ciągu dnia: św. Josemaría odpowiedział, porównując te ludzkie sztuczki do kul ortopedycznych, które powinny być używane od czasu do czasu, choć nie zawsze muszą być używane. I wyjaśnił, jak używał ich przez wiele lat, aby utrzymać świadomość Bożej obecności przez cały tydzień:

- W niedziele starał się myśleć o Trójcy Świętej, powtarzając wiele razy "Chwała Ojcu i Synowi...": w ten sposób chwalił Go, - mówił - tak jak to czynią Aniołowie w niebie;

- w poniedziałki, za Dusze Czyścicowe, powtarzając „**tysiące razy**” (sprecyzował), „*Requiem*

aeternam...”, „*Lux aeterna luceat eis, Domine...*”, itd.;

- we wtorki, do Aniołów Stróżów, powtarzając modlitwę, której nauczyła go matka, a która brzmiała: „*Sancti Angeli Custodes nostri defendite nos in proelio ut non pereamus in tremendo iudicio*” (Nasi święci Aniołowie Stróżowie, brońcie nas w walce, abyśmy nie zginęli na straszliwym sądzie);

- W środy szukał obecności Boga poprzez św. Józefa, do którego często mówił skomponowany przez siebie wiersz, który (jak mówił św. Josemaría) „**był okropny**” [stylistycznie], ale wypowiedzany z wielkim uczuciem;

- czwartki, mówił, były ciągłą Komunią: duchowe komunie, przebłaganie i przebaczenie za czasy, kiedy nie mógł przyjąć Komunii; nawiedzenia.... I dodał, że być może

stąd wziął się zwyczaj szturmowania na tabernakula (por. Droga, 876);

- w piątki, o Męce Pańskiej; pewne konkretne fragmenty i wiele aktów strzelistych;

- w soboty - u Dziewicy Maryi, mówiąc: „**Pani, ponad Tobą, tylko Bóg**”, „Córko Boga Ojca, Matko Boga Syna, Oblubienico Boga Ducha Świętego”.

Wiele razy przez lata widziałem, jak żył i zaszczepiał w nas nabożeństwo do Aniołów i świętych. Otóż te szczegóły jego osobistej pobożności związane z dniami tygodnia nie pozostały zwyczajem Dzieła.

Odpowiedział na pytanie, bo zadał je jeden z jego synów i na wypadek, gdyby jego doświadczenie przydało się komuś, ale nie wszystkim.

W pierwszych latach pobytu w Rzymie – wspominałem już - jednym z moich zadań była muzyka. Wraz z

Erramun Eguía, innym Baskiem w Rzymie, który miał niezwykle ucho muzyczne, ale słabo znał solfeż. Chodzi o to, że nie miałem wielkiego, konkretnego przygotowania: bardzo pomogły mi kursy harmonii, które odbyłem, i moje doświadczenie w chórach w Bilbao; poza tym stopniowo budowałem swoje umiejętności, kupując jakieś książki i partytury, pisząc jakieś harmonizacje piosenek itp. Utworzyliśmy kilka chórów, nabyliśmy kilka fortepianów i zaczęliśmy przygotowywać oprawę muzyczną ceremonii liturgicznych i innych uroczystości.

W tych samych latach (od września '54 do czerwca '56) robiłem dyplom z prawa kanonicznego na *Angelicum*: każdego ranka szliśmy na uniwersytet, prawie zawsze pieszo (około 35 minut), ponieważ nie było pieniędzy ani na transport, ani na tytoń... ani na prawie wszystko inne.

W tym zwyczajnym klimacie niedostatku wydarzyło się coś, co dobrze pamiętam, ponieważ spędziliśmy dużo czasu na przygotowaniach do Mszy Świętej, podczas której Marco Castelli, syn budowniczego Villa Tevere, któremu św. Josemaría chciał podziękować za pomoc w pracach przy domu, przyjął swoją Pierwszą Komunię Świętą. Daliśmy mu [św. Josemaríi] scenariusz, jak i co będziemy śpiewać w poszczególnych momentach uroczystości; zatwierdził go z jedną uwagą: że przez resztę czasu zawsze powinny grać organy.

Trzeba powiedzieć, że organy te były jednymi z pierwszych organów *Hamonda*, że znajdowały się w chórze jednego z oratoriów tego domu, że miały głośniki w kilku innych oratoriach, w aula magna itd. Przyznaję, że to było straszne, ale swoje zadanie spełniło i sporo takich *partactw* robiliśmy:

akompaniowaliśmy stamtąd chórowi śpiewającemu w auli, za pomocą dwóch telefonów śledziliśmy chór w innych miejscach itd.

I w owym dniu Pierwszej Komunii Marco śpiew wyszedł dobrze, ale kiedy nadszedł czas gry na organach... zepsuły się i nie mogliśmy zrobić tego, o co nas proszono. Na zakończenie wezwał Erramuna i mnie, i uświadomił nam powód naszej porażki: braku próby przed ceremonią. Gdy milcząco przyjęliśmy reprimendę, zmienił wyraz twarzy, by zapytać nas, czy jesteśmy głodni. Zanim usłyszał naszą odpowiedź, zadzwonił do Administracji, do kobiet odpowiedzialnych za utrzymanie domu, aby powiedzieć: „**proszę wyjąć trochę jedzenia, aby dać je kilku lwom, które tu mam**” (miałem 24 lata, Erramun był o rok lub dwa lata starszy ode mnie i choć już to mówiłem, nie mogę się oprzeć aby

nie powtórzyć, że obaj byliśmy z Bilbao). Wkrótce nadeszła taca z zestawem tanich, ale tłustych kiełbasek i kilkoma napojami. Święty Josemaría nie skosztował niczego, podczas gdy zachęceni przez niego pałaszowaliśmy wszystko, aż w końcu, gdy ostatni kawałek miał zniknąć, skomentował: „**Nie sądzisz, że przydałoby się nam trochę umartwienia?**”

Nawiasem mówiąc, pamiętam, że święty Josemaría nie udzielił Marco Pierwszej Komunii, ponieważ na uroczystość przybył wujek chłopca, który był biskupem. Przed udzieleniem Komunii ten dobry biskup powiedział kilka słów, w których wyraził swoje wzruszenie. Powiedział mniej więcej: "Jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem udzielić ci pierwszej komunii i mam nadzieję, że będę miał radość udzielenia ci ostatniej". Stwierdzenie, które zadziwiło krewnych i

przyjaciół uczestniczących w uroczystości... w tym mnie.

W tym samym czasie, wiosną '56 roku, pokazał nam [św. Josemaría], jak nieładnie może być, gdy ci, którzy już zjedli zdrowy i obfity posiłek, mogli bez zalecenia lekarskiego zjeść *śródporanną* przekąskę. ... Co więcej, przy niektórych okazjach, dla uczczenia pewnych dat, prosił o jakiś trunek dla nas po obiedzie.

"Zapada zmrok"

Żył wyłącznie dla Pana: widać było, że nie miał żadnego innego celu, jak tylko poznać, kochać i służyć Mu, a to ciążenie ku Bogu rosło gwałtownie w ostatnich latach jego życia. Jego celem było życie wieczne, z tego to punktu widzenia doceniał wszystkie aspekty egzystencji: często słyszałem, jak mówił, że musimy mieć głowę w niebie, a stopy mocno osadzone na ziemi, wskazując, że musimy dążyć

do świętości, zjednoczenia z Bogiem, poprzez realia tego życia.

Stosunkowo często słyszałem, jak mówił o niebie, które Pan nam da, jeśli będziemy wierni; dał nam bardzo wyraźnie do zrozumienia, że wierność ta, a w szczególności wytrwanie do końca, jest darem Bożym, na który nie możemy zasłużyć, tak że trzeba uciekać się do miłosierdzia Bożego i do środków nadprzyrodzonych. Pamiętam, że słyszałem, jak mówił, że nikt z nas nie ma pewności wytrwania i że widział w tym wielką miłość Boga do każdego i do jego wolności, ale że nie powinno to nas niepokoić, lecz skłaniać do rozważania miłosierdzia Bożego.

Od lat sześćdziesiątych słyszałem, jak powtarzał psalm *Vultum tuum, Domine, requiram* (Szukam Twego oblicza, Panie) i często mówił nam o najbardziej miłującym obliczu Pana,

które zobaczymy w niebie. Podczas spotkania w dniu 3 maja 1967 r. słyszałem, jak chyba po raz pierwszy, wypowiedział te słowa: „Zapada zmrok” [**Se me hace de noche**], mówiąc do nas w sposób zupełnie naturalny o czekającej nas miłości Boga. W poprzednim roku, podczas spotkania, zaśpiewaliśmy piosenkę, która stała się popularna we Włoszech, zatytułowaną *Aprite le finestre al nuovo sole*; bardzo mu się podobała i kilkakrotnie mówił nam, że chciałby, abyśmy mu ją zaśpiewali w godzinie jego śmierci. Na tym samym spotkaniu zaśpiewał piosenkę, która brzmi: „Ja jestem dla ciebie zachodem słońca, a ty jesteś dla mnie świtem”, a zakończył słowami: „**Nadzieja to dzień ze światłem, które nigdy nie zgaśnie**”.

Jednocześnie przypomniał, że duchowi Opus Dei nie jest właściwe pragnienie śmierci, ale - zawsze akceptując wolę Bożą - pragnienie

życia, ciężkiej pracy i śmierci
wyciśniętych jak cytryna: „**musimy
pragnąć żyć długo, ponieważ Pan
ma niewielu przyjaciół na ziemi**”.

Jego wiara nie miała charakteru
zarozumiałej pewności. Nie uważał
się za lepszego od innych, ale polegał
wyłącznie na Bogu. Ilekroć mówił o
polemikach doktrynalnych, o
potrzebie wierności doktrynie
Kościoła, kończył słowami, byśmy
prosilili Boga, by nie wypuszczał nas z
dłoni, bo możemy upaść niżej niż
ktokolwiek inny. To była jego nauka i
przykład: szczerą i praktyczną
pokorą, wspartą głęboką
samoświadomością. Często
powtarzał nam, że widzi siebie
„**zdolnego do wszystkich błędów i
wszystkich okropności
najpodlejszego człowieka**”, i że z
tego powodu rozumie ludzkie
słabości. Często słyszałem, jak
powtarzał zdanie francuskiego
autora: „**Nie wiem, jakie jest serce**

przestępcy, ale zajrzałem do serca dobrego człowieka i przeraziłem się". Ta znajomość duszy ludzkiej doprowadziła go do postawy nieustannej skruchy, która napełniała go pokojem i pogodą ducha.

Nie chcę kończyć tych stron bez wspomnienia innej cechy charakteru świętego Josemaríi: był on nadzwyczaj wdzięczny. Cokolwiek zrobiłeś dla niego, uznał za niezasłużone i prowadziło go do dziękczynienia. Widziałem to w wielu szczegółach: ilekroć dzwonił do mnie, żeby coś zamówić, zawsze robił to z prośbą, a potem dziękował, a jeśli było to coś bardziej osobistego, jak na przykład prośba o przygotowanie samochodu, bo wybierał się na wycieczkę, przeproszał, że zawraca mi głowę, pytał, czy są jakieś trudności, i tak dalej. Kiedy były jego urodziny lub imieniny, przygotowywaliśmy

program piosenek: nigdy nie omieszkał nam serdecznie podziękować za to, co robiliśmy. Przy jednej okazji, gdy dał mi konkretne zlecenie, na mój widok kilkakrotnie dziękował. Don José Luisowi Pastorowi, który przez lata był jego lekarzem, publicznie, na spotkaniu dziękował za to, co dla niego robił itp.

Mieliśmy wielkie nadzieje, że doczeka ukończenia prac i będzie mógł zamieszkać w Cavabianca (ostateczne miejsce Kolegium Rzymskiego, do którego przenieśliśmy się w 1974 roku). Za każdym razem, gdy wspominaliśmy o tej sprawie, uwidaczniało się jego oderwanie od tego, co sam śledził z tak wielkim zainteresowaniem, i jego dyspozycyjność wobec woli Bożej: zawsze uważał, że najważniejsze jest służyć „**tym, którzy przyjdą po nim**”, nie przywiązując wagi do tego, co może zobaczyć za życia. Pod

koniec jednego z ostatnich spotkań, jakie mieliśmy z nim w Cavabianca, 24 kwietnia 1975 roku o siódmej wieczorem, kiedy był już w samochodzie, aby wyjechać, powiedzieliśmy mu, że wszystko wygląda bardzo ładnie, i prawie nie przywiązując wagi do tego tematu, odpowiedział, że nie interesują go budynki, ale ci, którzy je zajmują. Kilka tygodni później, 7 czerwca, kiedy wszyscy szliśmy z nim do kaplicy Santa Cruz (jeden z budynków w Cavabianca), zaproponowałem, że moglibyśmy pójść i zobaczyć plac, który okazał się bardzo piękny; odpowiedział z humorem, opierając się na moim ramieniu: „**w twoim kraju też nie jedzą cielaka na raz... Zobaczą to, jak Bóg da.**”

22 czerwca 1975 roku, cztery dni przed oddaniem duszy Bogu, widziałem go i pozdrawiałem po raz ostatni. Jak zawsze, gdy przyjeżdżał

do Cavabianca, dawał wskazówki dotyczące uzupełnienia dekoracji, poprawy szczegółów itp., a jednocześnie chwalił i zachęcał architektów. Gdy tylko mnie zobaczył, zapytał: „**Jak się masz?**” . Chwilę zajęła mi reakcja, bo nie wyobrażałem sobie, że może pamiętać, że byłem przeziębiony, i praktycznie jestem zdrowy.

Tego dnia towarzyszyłem mu na spacerze po różnych rejonach Cavabianca, który zakończył się spotkaniem w czytelnicy. Wydawało mi się, że jest zmęczony, przynajmniej pod koniec wizyty, która trwała prawie dwie godziny. Myślę, że była to dla nas wszystkich ostatnia lekcja, jakiej udzielił nam w swoim ziemskim życiu: entuzjazm i zaangażowanie w pracę - jego wskazania dla tych, którzy malowali, dla architektów..., prawość intencji i zapał dla dusz, który go poruszał, jego zjednoczenie z Bogiem, tak jak

patrzył na sprawy, jego troska i
czułość dla swoich dzieci, jego urok i
dobry humor.

Iñaki Celaya

Iñaki Celaya

.....

pdf | dokument generowany
automatycznie z [https://opusdei.org/pl-
pl/article/wspomnienia-o-swietym-
josemarii/](https://opusdei.org/pl-pl/article/wspomnienia-o-swietym-josemarii/) (31-03-2026)